

Wacław Bojarski: Pożegnanie z mistrzem

Już byłem gotowy nacisnąć klamkę drzwi prowadzących do jego pokoju, gdy nagle spojrziałem na trzymany w rękę talerzyk i cofnąłem się w samą porę. Byłem pewien, że smarowałem przed chwilą trzy podłużne kromki chleba, tak najzupełniej pewien. A jednak na białym talerzyku, wyszczerbionym symetrycznie w trzech miejscach, leżały te same trzy kawałki chleba – razowe i nie-nasmarowane.

Co za roztargnienie! Jak mogłem sobie na to pozwolić!

Zdjąłem z półki ciemnozielony słoik z konfiturami i zacząłem wolno, pieściwie rozprowadzać niewyraźną złoto-brązową masę po gruboziarnistej, czarnej powierzchni świeżego chleba. Pomyślałem, że oto za chwilę w tej doskonałej kompozycji zboża i jesiennych owoców zanurzą się jego zęby, zęby mistrza nonsensu. Przez chwilę myślałem o tych jego zębach niezwykłych i wspaniałych. Nie były banalnie równe, nie były monotonicznie jednobarwne – o nie. Zawierały partyturę kolorów od hebanowo i połyskliwie czarnych do matowo i dojrzałe żółtych. Zdawało się, że istnieją tam w jego jamie ustnej dla samej gry kolorów, że są tylko koloraturą barw. Ale przecież nie! Były rozmieszczone z dala od siebie, luźno, a jednak potrzebnie. Rzadkie, niesymetryczne – padały jednak tam, gdzie było to najkonieczniejsze. Nigdy nie mogły przekłuwać pustej przestrzeni, nie kłapały ruchem pustym i rozrzutnym jak zęby ludzi zwykłych. Jak moje zęby – pomyślałem niemal z rozpaczą w ogromnym zawstydzeniu.

Tak, nawet zęby! I nie tylko one. Wszystko aż do najdrobniejszego szczegółu w postaci mistrza było pozornie i ułudnie marne, dziwaczne, mało warte, a w istocie wspaniałe, znakomite, nieobjęte aż do granic wytrzymałości mego podziwu.

Ach, gdyby on mnie teraz widział, jak krzątałem się małostkowo, po ludzku, jak wiele poświęcałem uwagi przygotowaniu dla niego śniadania, a więc sprawie tak prostej i logicznej, pewnie nie oszczędziłby mi swoich słów karzących i słusznych. Tymi myślami o jego zębach chciałem właśnie odkupić moją małostkowość, uwznioślić zwykłą czynność kontemplowaniem niezwykłego celu, jakiemu miała służyć.

Wreszcie niosąc w prawej ręce kubek z kawą, w lewej talerzyk z chlebem i cukrem, stanąłem przy jego drzwiach i z należyтым szacunkiem kopnąłem w nie dwukrotnie nogą.

Ach, czy pukanie nogą może wyrazić szacunek?

Nie zdążyłem już tego przemyśleć. Mistrz, który zawsze przenikał moje intencje i pomijał wyrozumiałością niezdarne formy – zawołał i teraz łagodnie:

– Proszę!! Proszę, mój Karolku!!

Wszedłem. I jak codziennie o tej porze stanąłem nieco zażenowany. Był to już inny świat, nie mój. Świat, którego nie mogłem zrozumieć. Mogłem go tylko uwielbiać.

Moja obcość sprawiała, że za każdym razem oglądałem ten pokój jakby na nowo z perspektywy intruza. Pod ścianą wielkie łóżko – biblioteka. Tak, właściwie było to zwykłe łóżko. O tym jednak, że było ono zwykłe, wiem tylko z zapewnień mistrza, bowiem naoczne przeniknięcie jego zwykłej lub niezwykłej natury było niemożliwością. Łóżko to było tak dokładnie obłożone książkami, że nie wiadomo było, gdzie się ono kończy, a gdzie się zaczyna materac.

O tym swoim łóżku mistrz powiedział kiedyś do mnie:

– Ach, mój dobry Karolku! Gdyby nie to, że wiem przecież wszystko, może sam w końcu zatraciłbym tę subtelną granicę rozróżnień i zacząłbym sypiać na opowieści o smutnym don Kichocie, a wzruszałbym się historiami wyczytanymi z kunsztownych i tajemniczych fałd poduszki.

Po przeciwnej stronie stała szafa odwrócona drzwiami do ściany. Nie tylko dlatego, że była pusta. Nie, takie ustawienie nie było gestem podobnym temu, którym stawia się na obrusie pusty kieliszek do góry podstawką. O nie! Był w tym jakiś sens, czy może bezsens głębszy. I to prawie wszystko. Jeszcze tylko na środku duży stół zarzucony kamyczkami, tytoniem fajkowym, kawałkami szkła, rysunkami robionymi palcem na warstwie kurzu – tym wszystkim, czego znaczenia nie starałem się nawet dociekać. Drzwi otwarte na balkon i fotel trzcinowy na balkonie, zawsze niesyty ciągłego chybotania na trzeszczących elipsowatych biegunach. Ze sterty książek wyglądała ku mnie rumiana, uśmiechnięta miękko twarz mistrza. Na jego lśniącej, prawie zupełnie łysej czaszce chwiały się przyjaźnie rzadkie, wysoko nastroszone kosmyki siwych włosów. Ukłoniłem się w milczeniu.

– Przyniosłem śniadanie – rzekłem i postawiłem na stole przyniesione z kuchni wiktuały.

Kawa stygła powoli, parując wysoko i smakowicie. W tej właśnie chwili słońce stanęło naprzeciwko okna i jakby mlasnęło złotym językiem po chlebach z konfiturami.

Mistrz uśmiechnął się jeszcze promienniejsze i zaczął powoli, niezdarnie wyplątywać się ze sterty książek, które czepiały się jego malinowego szlafroka nie czym innym przecież, jak tylko niedoczytanymi przed chwilą wątkami. Mistrz odsunął je od siebie łagodnie, głaskał uspokajająco, a książkę najbardziej natrętą trzymał w ręku i co chwila spoglądał na jej karty. W międzyczasie mówił:

– Dzień dobry ci, Karolku! Jadłeś już śniadanie?

Skupiłem się bez ruchu. To pytanie było tak niespodziewane! Zmarszczyłem czoło.

– Dlaczego nie odpowiadasz?

– Czy jadł... Czy ja... – zmieszałem się. – Nie pamiętam. Doprawdy nie mogę sobie przypomnieć – wykrztusiłem wreszcie.

– Jak to? – Mistrz spojrział na mnie troskliwie.

Policzki mi puchły od czerwieni.

– Nie wiem! Jestem od pewnego czasu bardzo roztargniony. Coraz trudniej przypominam sobie wszystko, co było. Robię niektóre rzeczy po dwa razy – niektórych nie robię wcale. Przed chwilą omal nie przyniosłem suchego chleba – tak byłem pewien, że go już pół godziny temu smarowałem. Teraz znów nie mogę sobie przypomnieć, czy jadłem już śniadanie – mówiłem szybko z rozpaczliwym poczuciem winy.

– To niedobrze. Jak można nie pamiętać o takich konfiturach! Mają wygląd zaiste tak wyborny, że zdają się nosić w sobie większą część prawdy istnienia niż jakakolwiek inna rzecz z tego świata. Zjedźże na wszelki wypadek śniadanie razem ze mną. Na wszelki wypadek – gdybyś zapomniał znów – żebym mógł pamiętać za ciebie.

Przyniosłem sobie śniadanie i usiadłem naprzeciwko. Mistrz jadł wolno, po każdym kęsie przymykając oczy. Gdy przełknął, znów otworzył oczy i przez chwilę czytał z książki opartej o stojącą na stole butelkę po piwie.

Słońce szturmowało coraz natarczywiej do wnętrza pokoju. Wkrótce już wszystkie sprzęty i nas obu opływała złota i nieruchoma łagodność. Mistrz z wypiekami na twarzy przerzucał szybko kartki i nawet od czasu do czasu spoglądał ukradkiem na ostatnią stronę. Ośmieliłem się zapytać go, co czyta.

– To najpiękniejsza książka mego życia: zebrane fugi Jana Sebastiana Bacha – odpowiedział dopiero po chwili, pokazując mi stronicę zadrukowane pięcioletnimi pełnymi magicznych znaków muzyki. Potem dodał jakby zawstydzony: – Nie miej mi za złe tego zwyczaju prostaczków, Karolku. Wiem, że postępuję gminnie, zaglądam co chwila o parę kartek dalej, zaciekawiony jak to się wszystko skończy. Ale trudno! Nie mogę się od tego powstrzymać już w tym miejscu, gdzie dwa szermujące ze sobą tematy łączą się nagle, aby razem napaść na trzeci, który zjawił się dopiero przed chwilą. Jest to zbyt bezwzględne, zbyt bezwzględne! Czuję się wtedy sam czwartym tematem, który walczy przeciwko tym dwóm. Ach, czyż to się może dobrze skończyć?

Smarowałem machinalnie nowe kromki chleba i podsuwałem mistrzowi.

– Na pewno dobrze się skończy. Na pewno – mówiłem.

– Tak myślisz?

Mistrz oderwał się od lektury i z rozczeniem spoglądał na rosnące przed nim porcje chleba.

– Mój Karolku! – rzekł. Wyjąłem nóż z chleba – Mój Karolku! Przypomnij mi, żebym kupił podczas naszej ранней przechadzki ładunek dynamitu.

– Dynamitu? – przeraziłem się.

Mistrz pochylił się ku mnie konfidencjonalnie i wzniosł w górę wskazujący palec.

– Tak, chłopcze! Dziś dokonamy czynu, z którym nie możemy dłużej czekać. Wysadzimy w powietrze wielkie składy nut i fortepianów w naszym mieście.

– Składy grubego Teofila na ulicy Marynarzy? – krzyknąłem zaskoczony i rozentuzjasmowany.

– Tak, tak! Właśnie – mówił już teraz spokojnie mistrz. – Czyżbyś nie rozumiał przyczyn mego postanowienia?

Milczałem.

– To proste przecież. Czyż nie rozumiesz, że tolerowanie w dalszym ciągu takiego stanu rzeczy, jaki tam miał miejsce, musiałyby spowodować nieodwołalną katastrofę na nasze małe miasteczko? Systematycznie trwające od lat magazynowanie instrumentów i narzędzi muzyki musiałyby przecież w końcu doprowadzić do tego, że muzyka sama, ta niewyraźna, nieudźwięczniona jeszcze, niewychwyta idea muzyczna, żyjąca wokoło nas, pozbawiona ciągle możliwości zapłodnienia jej przez dźwięki, zechce nas pewnego dnia porzucić. Znajdzie sobie wyjście gdzie indziej. Daremnie będziemy jej poszukiwali, stroili nieskończenie w mrocznych składach długie szeregi fortepianów! Na próżno będziemy odkurzali całe sterty nut! Muzyki już między nami nie będzie.

Zerwałem się porywczo.

– Więc rozdajmy to raczej między ubogich! – zawołałem. – Każdemu biedakowi damy fortepian i komplet nut. Dajmy im to, jak skarbonki. Niech ciulają do nich, każdy swoją muzykę!

Mistrz uśmiechnął się i pokiwał melancholijnie głową.

– Cieszę się, Karolku, z twego zapału. Masz szlachetne zapędy społeczne. Kiedy byłem w twoim wieku też myślałem w podobny sposób. Niestety – rozłożył bezradnie ręce – nie starczy nam na to sił! Sprawa zaszła już zbyt daleko, abyśmy mogli pozwolić sobie na powolne działanie. Ratunek jest teraz tylko w nagłej akcji. Powodów jest jeszcze mnóstwo. No pomyśl! Pomyśl! Jak tam mogą leżeć spokojnie w stertach, blisko siebie te autografy: mocne, spokojne nuty Bacha i różnokolorowe kreskowania Strawińskiego? Przecież one tam płowieją z bezsilnego wzajemnego gniewu. Wzajemnie chciałyby sobie skoczyć do swych pauz i kluczy wiolinowych. A nie mogą! Nie mogą, bo muszą czekać długie lata, zanim je może ktoś kupi i zechce z nich grać. Muzyka w ten sposób kiśnie tam i ztraca się. Już nawet wiatry tutejsze nasycają się tym bezsilnym czekaniem nut. Nie zauważyłeś? Są coraz wcześniej porywiste, nerwowe i bezmuzyczne. A już przy samych składach wzmagają się natarczywe, ogłupiałe, łapczywe i dobijają się desperacko do drewnianych ścian. Musimy iść za instynktem wiatru, Karolu.

– Jestem więc gotowy! – rzekłem poważnie, jak tego wymagały okoliczności.

– Dziękuję ci.

Muszę przyznać, że byłem trochę podniecony. Jakby w oczekiwaniu rozkazów, patrzyłem uważnie na mistrza. On tymczasem pogrążył się w zadumie. Poruszał wolno szczękami, przeżywając jakieś myśli ważne i konieczne, i nagle zrobił ruch niewytłumaczony. Zaczepnął ostrożnie łyżką trochę cukru, wrzucił do kubeczka i zaczął starannie mieszać. Widziałem przecież od dawna, że kubek jest... tak, że jest pusty!

– Mistrzu! – szepnąłem. – Czy nalać jeszcze kawy?

Otrząsnął się lekko z jakichś myśli. Dopiero teraz jakby spostrzegł, co robił.

– Coś takiego – rzekł zdumiony. – Byłem pewien, że w kubku jest kawa, i dopiero teraz zacznę ją pić.

Nie mówiłem nic. Czyżby i on był roztargniony? Mistrz siedział dłuższą chwilę w zadumie.

– Więc to jednak tak. Więc to jednak już – wyrzekł wreszcie. Potem dodał szybko: – Mój Karolku! Mój dobry Karolku! Nie mam prawa ukrywać przed tobą istniejącego stanu rzeczy. To nie my jesteśmy roztargnieni. Wszystkie te fakty potwierdzają moją hipotezę roztargnienia samego czasu. To nie my, lecz on właśnie – czas – rozluźnił swoje prawa i związki. Być może już niedługo zobaczysz rzeczy przedziwne, które będą się musiały stać z tego powodu. Być może... chciałem cię tylko uprzedzić, Karolu.

Siedziałem milcząco, nic nie rozumiejąc. Chciałem zadać mistrzowi jakieś pytania, dowiedzieć się czegoś bliższego, i nie mogłem się zdecydować na wybór potrzebnego słowa.

Mistrz ubierał się właśnie w swój codzienny strój spacerowy. Spokojnie, nawet pedantycznie kładł białe obszerne spodnie i taką samą marynarkę. Była wprawdzie późna jesień – za chłодно trochę na białe ubranie. Mistrz jednak lubił je szczególnie i z żalem się z nim rozstawał, gdyż te białe poły i rękawy znakomicie nadawały się do robienia podręcznych notatek w okolicznościach, w których brakowało papieru. Tymczasem pokój wypełnił się już do sufitu słonecznym chybotańcem powietrza zapełnionego wirującymi cząsteczkami kurzu. Migotliwy kolorowy pył nasycił dokładnie całe nasze pole widzenia. Wirował falami gęstniejącymi w barwach coraz wyrazistszych, choć wiecznie zmiennych. Działo się to po prostu w ten sposób, że dwie kontrastowe plamy barwne powietrza, zbliżywszy się zbyt blisko do siebie, odskakiwały nagle w przeciwne strony i zostawiały między sobą wolne miejsce, w którym rodziła się trzecia plama barwna.

Tak to podchodziło ku nam coraz bliżej. Od strony okna rytmiczne falowanie kolorowych światel.

Zapatrzony, doznawałem uczucia jak gdyby zadośćuczynienia za moje uczniowskie prostactwo.

Wtedy właśnie zza okna wypłynęła wolno na to powietrze rozfalowane kolorami już do granic jakiejś wytrzymałości – ryba. Zwyczajnie, niewielka ryba. Wolno, poważnie poruszając pyszczkiem, zaczęła opływać dookoła nasz żyrandol. Potem bez większego wysiłku przewierciła go na wylot, okręciła się dookoła siebie, zatrzepotała figlarnie ogonkiem gdzieś pod sufitem i teraz jednym rzutem spadła na mnie.

Krzyknąłem. Ryba spokojnie przepłynęła przeze mnie i opuściła pokój oknem. Próbowałem się uspokoić.

– To jedna z najpiękniejszych twoich sztuczek, mistrzu! – rzekłem.

Mistrz czyścił rękawem rondo słomkowego kapelusza.

– Ach, Karolku, Karolku! – powiedział z lekkim wyrzutem. – Z jakim trudem wnikasz w głębię zjawisk! Uprzedzałem cię przecież. Czemu zlekceważyłeś moje uwagi?

– Więc ta ryba napowietrzna...? – Kiełkowało coś we mnie z trudem niezmiernym.

– To tylko wina czasu, czy może zasługa raczej. Czas, mój miły, zachowywał się dotąd rytmicznie. Rządził się prawami muzyki. Postępował z wszystkim według pewnego taktu, który myśmy nazwali minutami, sekundami i jeszcze inaczej. Była to zresztą, wyznam ci, miara niedokładna nieco. W istocie czas pulsował według miary pewnej fugi Bacha, granej już bardzo dawno temu w taki dzień, jak dzisiejszy. No, ale mniejsza o to. Otóż od niedawna ten stary czas zaczął coraz widoczniej tracić takt. Stało się to niewątpliwie pod wpływem zbrodni dokonanej na muzyce przez grubego Teofila z ulicy Marynarzy. Czas bez muzyki – muzyka bez czasu to, mój dobry, rzeczy niesłychane, sprawy zbrodnicze, mogące przyprowadzić o szaleństwo. No i masz! Cierpliwy czas zwariował wreszcie.

– Ach, ale przecież gruby Teofil nie zamknął jeszcze całej muzyki. Czyż muzyka to tylko fortepiany i nuty?

– No właśnie. Właśnie. Zbrodnia nie jest jeszcze całkowita. Masz rację. Ale też czas niezupelnie oszalał. Jest tylko jakby przesadnie roztargniony. Sprawia wrażenie, jakby nie troszczył się wcale o nas, tylko o muzykę.

– I zważ, co się stało – rzekł mistrz, rozstawiając patetycznie nogi i wznosząc w górę dłonie z rozwartymi kabalistycznie palcami. – Zważ, mój chłopcze. Ta ryba, którą widzieliśmy, tak niefrasobliwie mimo nas się zachowująca, jest rybą sprzed lat tysiąca dziewięćset sześciu. Tysiąc dziewięćset sześć lat temu w miejscu, gdzie się znajduje nasze ciche miasteczko, był zalew morski. I to roztargniony czas zapomniał o takcie tych lat i pomieszał wszystko haniebnie i znakomicie. W dalszym ciągu zostawił zalew morski o tych kilkaset lat wstecz, ale przywrócił z powrotem ryby. To przecież proste. Ta ryba pamiętała jeszcze w tym miejscu wodę i dlatego pływała tu sobie tak swobodnie i ironicznie.

– Ach, to znakomite. Proste i znakomite – zawołałem radośnie, aby zagłuszyć w sobie nagły niepokój przed rzeczami niezrozumiałymi i niespodziewanymi.

– No, widzisz. Widzisz – rzekł znów łagodnie mistrz. – Daj mi teraz moją laskę i chodźmy na miasto. Na spotkanie dziwności czasu.

Wyszliśmy. Byłem po prostu zaskoczony banalnym, codziennym wyglądem naszego miasteczka. Kiedy tak szedłem obok mistrza, kroczącego anielsko z rozwianymi białymi skrzydłami marynarki i pobrzękującego wesoło laską po bruku, miasteczko przetaczało się swoim leniwym życiem przez skwarne południe i miejski rynek.

– Niedziela. O tak. To dobrze – rzekł mistrz. – Niedziele są najodpowiedniejszymi dniami do zamachów.

– Więc dzisiaj jest niedziela? – zapytałem z niedowierzaniem. – Skąd taki wniosek?

– Patrz. – Mistrz wskazał laską.

Rzeczywiście. Pod wodotryskiem rynkowym stał oddział strażaków w złotych hełmach i dał w mosiężne trąby. Słońce własnym złotem kapało obficie z tych złocistości ziemskich. Tak, to była niedziela.

Dopiero po chwili zorientowałem się, że przecież... Ach, no tak, że przecież trąby nie wydają żadnego głosu. Na próżno pięknie ubrani, smukli chłopcy marszczyli brwi i nadymali pąsowe już policzki. Trąby w ich rękach spoczywały spokojne, senne i złote.

– Widzisz? – rzekł mistrz. – Widzisz. To samo. Roztargniony czas nie chce czy nie może już utemperować, uzgodnić ze sobą dwóch, które jeszcze wczoraj byliśmy skłonni uważać za niewątpliwie następujące po sobie, a nie równoczesne. Te trąby pamiętają jeszcze niedawny niemy spoczynek i dlatego tylko milczą. Kto wie co się dzieje w tej chwili z tą natarczywością muzyki, która się teraz wytwarza.

– Więc dźwięki...? – zapytałem lękliwie. – Dźwięki to jeszcze nie muzyka? Mistrz otoczył mnie ramieniem.

– Dźwięki – rzekł – to tylko dobijanie się do drzwi, za którymi czeka muzyka.

Podeszliśmy do biednych złotych strażaków i pogłazdaliśmy ich po zmęczonych i przerażonych twarzach. Odpowiedzieli nam mocniejszym i bardziej tragicznym w swej bezsilności nadęciem policzków.

Dziwność czasu potęgowała się nieuchronnie. Czułem lekkie drżenie całego ciała. Co mógł teraz czuć mistrz? Jakie pulsowania, szmery nieobjęte i niepojęte. W tej chwili przeszła obok nas grupa miasteczkowych dziewcząt, wystrojonych niedzielnie i tanio. Mistrz zatrzymał się i klepnął dwie najbliższe w różowe podbródki. Dziewczęta parsknęły chichotliwie, a on stał i patrzył jeszcze długo na ich nogi wysmukłe, młode i radośnie trzpiotowate. Ach, co miał na myśli, tak postępując? Jakiej niepojętej dla mnie mądrości miało to być symbolem? Był to może gest troskliwości o istnienie prostacze nieświadomie napływającej dziwności?

Gdy dziewczęta zniknęły za rogiem, mistrz rzekł sam niepytany:

– Tak, mój Karolku. W nabrzmiałych i ciepłych piersiach dziewczyn jest ta sama mądrość rzeczy, co w konfiturach. To znaczy jest jej tam znacznie więcej niż gdziekolwiek indziej.

Te słowa tajemne zapadły mi głęboko do serca, choć jeszcze nie rozważałem ich pięknego sensu.

Wstąpiliśmy teraz do małego sklepiku spożywczego i poprosiliśmy o duży ładunek dynamitu. W tych burzliwych czasach było go tam z każdym dniem więcej niż mąki i jabłek. Gdy już leniwa sprzedawczyni odważyła nam pedantycznie żadaną ilość, uważałem pilnie, żeby nie było niedowagi. I wychodziliśmy znów na rynek po trzech drewnianych schodkach, minął nas w drzwiach niski, skromnie ubrany człowieczek w trójgraniastym kapeluszu.

– Ależ to jest... To jest... – jąkałem się, krzycząc i bojąc się jednocześnie powiedzieć do końca.

– Tak, to jest Napoleon Pierwszy – dokończył mistrz.

– Jak to? Skąd? Dlaczego? To żart chyba – wołałem natrętnie.

– Czyż ja żartowałem kiedykolwiek, mój Karolku? – odpowiedział mistrz z wyrzutem. – Dlaczegoż to fakt istnienia pływającej ryby bez wody, gry na trąbie bez dźwięku wydaje ci się bardziej możliwy do przyjęcia niż roztargnienie czasu Napoleona? Cesarz mężnych Francuzów pamięta siebie przebywającego w naszym miasteczku przed wieloma laty. Roztargniony czas i tu jednak wypadł z taktu i pozbawił cesarza jego świty, wojska, otoczenia, no, wszystkiego tego, co się składało na jego czasy. To przecież proste, chłopcze. Czemu tak się trzęsiesz?

– Bo... bo... – szukałem możliwie honorowego kłamstwa. – Bo byłem zawsze ciekawy, jak wygląda Napoleon. Nigdy go jeszcze tak z bliska nie widziałem.

– Ach, więc zaraz mu się przyjrzymy, gdy będzie wychodził ze sklepu. Chodźmy tutaj – rzekł mistrz, pociągając mnie za rękę.

Stanęliśmy za załomem muru. Serce galopowało mi ciężko, nierówno i co chwila przepuszczało kilka uderzeń.

Wreszcie Napoleon wyszedł ze sklepu. Szedł przez rynek szybkim truchtem i zwisającą mu u boku szablą krzesał na bruku iskry.

– Zdaje mi się, że gdy wchodził do sklepu, nie miał szabli – zauważyłem lękliwie, bo już bałem się polegać na własnej pamięci.

– A to co za figiel, drogi Karolu – wykrzyknął mistrz, jakby ubawiony czymś nagle. – To już drugi, zupełnie inny Napoleon. Ten znowu jest całkowitym produktem twojej pamięci.

– Więc jakże? Jakże to? Czyż może być dwóch Napoleonów? Dwóch różnych, poruszających się, żywych, kupujących coś w sklepikach?

– Ależ tak. Istnieje tylu żywych Napoleonów, ile jest żywych osobnych o nich wspomnień. Każdy ma swojego Napoleona. Ba, ale, mój miły. Twój Napoleon jest wręcz niebanalny. Nosi szablę, co mu się za czasów jego pamięci nie przytrafiło nigdy.

– To dlatego – wyznałem ze wstydem – że w czasie, gdyśmy się uczyli w szkole historii Napoleona, ja miałem zapalenie okostnej i byłem długo nieobecny w szkole. Stąd pewnie ta żywa kompromitacja mego nieuctwa.

– To nic. To nic, drogi chłopcze. Takich upiększeń i deformacji mogą się wstydzić tylko umysły prostacze i logiczne. Natomiast intelekty polotne i wzniosłe winny się tym szczycić. W istocie bowiem Napoleon widziany przez nas początkowo wcale nie wydaje się być starszy rangą od tego, który tam skręca w stronę mostu. Obaj są prawdziwi i rzeczywiści, co mogło się wyraźnie okazać dopiero od chwili zdemaskowania się roztargnionego czasu.

Mimo łagodnego, rzeczowego tonu mistrza czułem rosnący a niewytłumaczalny niepokój. Słońce zsuwało się bezszelestnie po drugiej stronie nieba. Złote, ostre światło zaczęło matowieć czerwono i gasnąć. Zapalały się drzewa na horyzoncie.

– Chodźmy stąd – prosiłem.

– Tak. Chodźmy, chodźmy – dorzucił mistrz wesoło, jakby nie rozumiejąc mego tonu. – A więc dokąd pójdziemy? – Znow podniósł do góry rozwarłe palce obu dłoni. – Odwiedzimy Jana Sebastiana Bacha.

– W jaki sposób? – zapytałem naiwnie i bojaźliwie.

– Znow bardzo po prostu. Zobaczymy przy pracy tego mocarza dźwięków, Bacha, który istnieje gdzieś tam powołany do życia raz na zawsze twoją pamięcią. Wiesz przecież, poczciwy chłopcze, że byłoby to dla mnie zupełnie drobiazgiem przeniesienie cię stąd o setki kilometrów do jego rodzinnego miasta.

– Wiem – przytwardziłem upokorzony bezsporną wszechmocą mistrza.

– Więc właśnie. Jest to jednak niepotrzebne zupełnie, gdyż w twojej wyobraźni nie istnieje jakikolwiek inny świat poza naszym miasteczkiem. Z łatwością więc umieszczasz Bacha, znanego ci z moich opowiadań, na jednym z przedmieść tej naszej małej i bezgrzesznej miejsciny.

Ostatnie słowa wypowiadał mistrz już w chwili, gdy oddaliliśmy się znacznie od rynku. Domy stawały się teraz coraz rzadsze, nieregularne, koślawe, pochłapane czerwonym już zupełnie słońcem. Z wysiłonym trudem starałem się poznać te ulice, które powinienem był przecież znać doskonale. Znane widoki tymczasem matowiały, gmatwały się i dziwaczały. Szliśmy jakby w głąb tej dziwności trudnej jeszcze do określenia, a jednak już oczywistej.

Weszliśmy teraz w jakąś niezbyt brudną uliczkę, przy której stał szary jednopiętrowy dom, obrośnięty brunatno-czerwonymi jesiennymi winoroślami. Szarość i czerwień odpowiadały sobie potrzebnie i spokojnie. Odczułem to jako łagodną pociechę.

– To tu – szepnęła poufnie mistrz, wzięwszy mnie pod rękę.

Ostrożnie przywarliśmy do szyb parterowych okien. Trudno było dojrzeć coś wyraźniej. Wewnątrz był mrok szary, kleisty i zupełny. Dopiero po chwili spostrzegłem przymglone, ciemne zarysy czegoś poza mrokiem.

– To on – rzekł mistrz zmarszczeniem czoła i przyciśnięciem mojej ręki.

Wytężyłem wzrok. Rozpłaszczyłem się na szybie. Dostrzegłem. Taki sam, jak w opowiadaniach mistrza. Siedział przy stole. Widziałem białe koronki u rękawów, wysoką białą perukę i twarz. Nie, twarz była zasłonięta dłońmi, lecz i przez te dłonie wyczuwałem jej rumianą, grubokościstą pełność.

– Dlaczego nie gra, nie pisze? – spytałem szepsem.

Mistrz nic nie odpowiedział. Bach siedział nieporuszony, niknący wolno w gęstniejącym mroku. Nagle zadrżał spazmatycznie. Zrozumiałem – płakał.

Nie pytałem o nic więcej. Nie mogłem dłużej tak patrzeć. W krtań łaskotało mnie wzruszenie nagłe, które mogło lada chwila zmienić się także w płacz. Odwróciłem się od okna uczepony ręki mistrza, który mówił dalej spokojnie.

– Oto, mój drogi, człowiek, który pośród wszystkich ludzi najbardziej żył z czasem na bakier. On pierwszy. Jego sława muzyczna rozpoczęła się dopiero w sto lat po jego śmierci. Czy nie domyślasz się, że było to pierwsze wielkie roz-targnienie czasu zasłuchanego w jego muzykę?

Chciałem odpowiedzieć, lecz w tej chwili ujrzałem coś, co podziało na mnie jak – nie, nie mogłem sobie tego dokładnie uświadomić. Był to już jednak tylko strach.

Oto po drugiej stronie ulicy ujrzałem te same dziewczęta, które minęły nas na rynku i obok nich – tak, obok nich mistrza dotykającego przekornie i mądrze ich różowych podbródków. Jednocześnie widziałem drugiego, takiego samego mistrza, stojącego obok mnie ze swoim uśmiechem jowialnym i zamysłonym.

– Co to? Co to? Mistrzu! – wołałem głupio, ale rozpaczliwie, nie mogąc się zdecydować na zwrócenie się do jednego z nich obu, jednakowych, a tak różnych.

– Dlaczego cię to dziwi, Karolku? – rzekł spokojnie ten stojący przy mnie. Czy sądzisz, że my obaj jesteśmy na prawach wyjątkowych na tym świecie? Więc dziwi cię to, że nie istniejemy pojedynczo, lecz jest nas w rzeczywistości tylu, ile jest naszych myśli, wspomnień, uśmiechów i postanowień?

Teraz ujrzałem nagle trzeciego mistrza, siedzącego na ziemi i zajadającego konfitury. Obok czwartego, czytającego jakiś zbiór nut. Między nimi trzema przechodził ostrożnie, trzymając w jednym ręku kubek, a w drugim...

Krzyknąłem.

Tak, to byłem ja sam. Taki sam, identyczny, tylko przedpołudniowy. Szedłem sobie spokojnie, uważnie, ostrożnie, zapatrzony w rytmiczne chybotanie się kawy, nie zwracając najmniejszej nawet uwagi na tego drugiego mnie, który patrzył na niego ogłupiały i zastraszone. Z bocznej ulicy wybiegł teraz jakiś młodzieniec wesoło podskakujący, majątający śmiesznie zieloną konewką i gwizdzący coś bezgłośnie.

Wiedziałem, że to był walc z *Fausta* i – że to byłem trzeci ja.

Przerażony, ostatecznie padłem przed mistrzem na kolana.

– Mistrzu – wołałem, zamknąwszy oczy, żeby nie widzieć podwójnego siebie. – Drogi mistrzu. Powiedz wreszcie, że tylko sobie tak zakpiłeś z poczciwego prostaka. Powiesz, że to nieprawda. Że to tylko arcydzieła twojej imaginacji, w którą kazałeś mi uwierzyć. Powiedz. Uratuj mnie od samego siebie, który się mnoży nieskończenie.

– Karolku, mój dobry Karolku. Uspokój się. To przecież prawda. To rzeczywistość, która dzieje się tym razem naprawdę bez mojego udziału. Sama.

– Ach, ja tak nie mogę. Nie mogę. Muszę wreszcie wiedzieć, który ja jestem prawdziwy, a który jest tylko przeszłością. W ogóle chcę wiedzieć wszystkie rzeczy pojedynczo, konkretnie. Chcę wiedzieć, które są, a które tylko były, bo inaczej...

– Pomnij wreszcie – przerwał mistrz łagodnie, ale stanowczo – pomnij wreszcie, że w istocie to, co przyzwyczaiłeś się nazywać przeszłością, nie istnieje. Była to blaga wymyślona przez umysły ograniczone. Naprawdę istnieje ciągle tylko terażniejszość. W niej mieszczą się wszystkie nasze myśli i czyny minione i obecne. Tak było zawsze. Tylko że dotąd rytmiczny czas dzielił to wszystko w jakiś sposób małomieszczański, pedantyczny. Szufładkował nasze słowa i gesty, nie

pozwalając na konfrontacje między nimi. Obecnie przez zwykłe roztargnienie czasu zdemaskowała się ta długo ukrywana blaga.

– Och, tak, tak. – Nie mogłem się mimo wszystko uspokoić. – Tobie, mój mistrzu, łatwo mówić tak spokojnie. Cała dziwność rzeczy łąsi się do twoich rąk posłuszna i zrozumiała. Ale na mnie, prostaka, zwała się, przygniata, straszy mnie i męczy. Mistrzu. – Objąłem jego nogi. – Zabierz mnie stąd gdzie indziej, dokądkolwiek. Przecież to dla ciebie będzie drobiazgiem, niczym. Wyratuj mnie od mojej twarzy i rąk. Uczyni mi choćby nutą z fugi Bacha. Ostatnią, małą nutą. Żebym sobie mógł tam leżeć rozpięty na pięcioliniach i czekać spokojnie, bezmyślnie i beczynn timer. Mistrzu!

Mistrz podniósł mnie z kolan i zaczął gładzić po głowie.

– Oczywiście, byłoby to dla mnie drobnostką. Ale czy ty wiesz, Karolku, o co prosisz? Być nutą z fugi Bacha? O, czy wiesz, co czuje zwykła nuta? Jak musisz skupiać się w sobie, gdy już drżą pięciolinie od dźwięków nut początkowych, coraz bliższych. Z jakim niepokojem czeka na ten zbliżający się dźwięk. Czy jesteś pewien, że zdobyłbyś się na obojętne istnienie obok dźwięku, który miałbyś tylko oznaczać? Przecież tak samo jak teraz drżałoby ci maleńkie czarne serce, gdybyś czuł nieskończone powtarzania się samego siebie w dźwiękach i opisach nut. Ale, kochany, ja na to pozwolić nie mogę.

– Więc co to będzie? Co będzie? Ja tak przecież nie mogę.

– Uspokój się, uspokój. Daj dowód tego, że jesteś przecież moim uczniem, uczniem mistrza nonsensu. Spokojnie. Dzień dzisiejszy wymaga przecież od nas wielkiego przedsięwzięcia.

Dopiero to zdanie przywróciło mi trochę skupienia. Prawda. Mieliliśmy wieczorem wysadzić w powietrze składy nut i fortepianów przy ulicy Marynarzy. Ta myśl umocniła we mnie przekonanie, że przecież mimo wszystko, cokolwiek stać się jeszcze może, mistrz pamięta o wszystkim i czuwa także nade mną jak nad składem nut. To już pewnie niedługo. Trzeba się przecież przygotować, zapomnieć o swym małym człowieczym strachu w tej chwili, gdy sam mistrz pochłonięty jest przeciw tylko myślą wyświadczenia dobrodziejstwa tej sprawie nadludzkiej.

Teraz właśnie ulica opustoszała od naszych ludzkich postaci. Weszły na nią znów dziewczęta chichotliwe i różowe.

– Przepraszam cię, Karolku, na chwilę. Mam do załatwienia pewną drobną, ale na wskroś metafizyczną sprawę. Zaraz wracam.

Nie zdążyłem nic odpowiedzieć, bo już mistrz, nie oglądając się na mnie, skierował się w stronę dziewczyn. Najbardziej różowa odłączyła się od grupy i podeszła do niego. On zaś, wielki mistrz nonsensu, przekładał kłopotliwie z ręki do ręki podłużną paczkę z dynamitem i zaglądał dziewczynie w oczy. Wreszcie zdecydował się schować dynamit w obszerną kieszeń marynarki i objął wpół perkalową różowość.

Teraz dopiero przeraziłem się ostatecznie.

W tym jego pośpiechu, krygowaniu się, łapczywości niezgrabnej i natrętej było coś tak ludzkiego, coś tak bardzo ludzkiego. W uśmiechu nerwowym obnażył swoje zęby. I oto one, tak doskonałe i konieczne, były tu czymś nieporadnym i szczerbatym.

Zawołałem z rozpaczą ogromną:

– Mistrzu!

Ale on nie drgnął nawet, i tak pochylony śmiesznie ku dziewczynie, zniknął w jakiejś bramie, drepzczący nieporadnie i uderzany niemiłosiernie po łydkach ładunkiem dynamitu.

Nie zdziwiłem się jego milczeniu. Przyjąłem je rozczarowaniem głuchym i ogromnym. Nie odpowiedział, bo nie czuł się już mistrzem. Może nie był nim nigdy? Otumaniał mnie tylko małymi kuglarskimi sztuczkami i wreszcie zdemaskował się w tym dniu powszechnej demaskacji. Był więc zwykłym człowiekiem.

To odkrycie przywróciło mi nagle własną godność i podniosło ją znacznie wyżej, niż się tego mogłem kiedykolwiek spodziewać. Byłem więc demaskatorem nonsensu. Okręciłem się wesoło na pięcie – i nagle potknąłem się z nagłego wrażenia.

Ujrzałem biegnących w moją stronę, stłoczonych w popłochu panicznym i gwałtownym – strażaków. Jakże wyglądali okropnie. Pogubili złote kaski i trąby. Na ich mężnych piersiach dzwoniły jazgotliwie i tchórzliwie rzędy orderów. Z wytrzeszczonymi z wysiłku i strachu oczami pędzili na oślep gnani przez fałszywą, nędzną, ale gwałtowną i głośnie strażacką muzykę, która wreszcie wytrysnęła z trąb i ścigała ich gwałtownie. Nic nie pomogło porzucenie trąb ani zatykanie uszu. Chropawe i ryczące dźwięki cwałowały za nimi galopadą coraz szybszą i groźniejszą, gotową dopaść ich w każdej chwili.

Spoceni strażacy byli już blisko mnie. Spiętrzona w biegu muzyka zapowiadała, że już za chwilę wypadnie zza rogu i wtedy...

Zbladłem, skurczyłem się, przyczałem trwożliwie i tchórzliwie. Zrozumiałem nagle i boleśnie, że jestem sam, zupełnie sam, zagubiony bezradnie w środku dziwności rzeczy. Zrozumiałem, że nie mam mistrza.

Rzuciłem się na oślep do ucieczki. W pędzie minąłem siebie przywarte go twarzą do szyby pokoju Bacha. Za mną czułem bezradny tupot strażaków i jeszcze bardziej bezradny tupot dźwięków.

– Dźwięki to tylko dobijanie się do drzwi, za którymi czeka muzyka – pomyślałem mimo woli. Teraz jednak poczułem całą pustkę tego zdania, gdy nie tkwiło ono w ustach mistrza.

W tej chwili omal nie wpadłem na jakąś wysmukłą postać w obcisłych pantalonach, która przechodziła wszcz przez ulicę.

Był to Ludwik XIV.

Zwolniłem bieg wbrew woli.

Ach, to było okropne. Nienawidziłem absolutyzmu francuskiego. A teraz nagle dowadywałem się, że on nienawidził mnie także. Wypłatał się swoim najdobitniejszym symbolem poprzez gąszcz czasu, aby mi przeciąć drogę właśnie w takiej chwili. Było to zbyt bezwzględne, aby moje kolana mogły nie zmięknąć nagle. Strażacy byli tuż za mną. Poczułem na plecach ich gorący ogniowy oddech i zdwoiłem siły. Wpadłem w boczną uliczkę w nadziei, że strażacy pobiegną prosto. Niestety. Biegli dalej za mną, a tuż za nimi te dźwięki straszne, ryczące, do których na pewno przyłączył się mściwy, bezwzględny absolutysta, Ludwik XIV. Czułem to wyraźnie całą powierzchnią ścierpiętych ze strachu pleców.

Pędziłem coraz zacieklej. Wpadałem w ulice coraz bardziej zawiłe i coraz bardziej nieznane. Z bram wyglądały ku mnie straszne lub smutne twarze, które widziałem dawno temu w kinie lub we śnie. Mrugały ku mnie migdałowymi oczami i nawoływały ustami klejącymi się od jakichś słów niedosłyszalnych, wypowiedzianych w języku kina i snów. Gdy odrzuciłem ich nawoływania niecierpliwymi gestami rąk i klaskaniem stóp po bruku, nie dawały za wygraną i mnożyły się, ustokrotniały, zabiegały mi drogę i znów pojawiały się zniecka, mrugały, rozklejały wargi do wołania. Postanowiłem nie patrzeć na nie, nie myśleć i uciekać z głową wzniesioną w niebo. Z początku wydało mi się to postanowieniem heroicznym i uwalniającym. Ale już po chwili – po chwili spostrzegłem, że na dokładnie czerwonym niebie, pośród chmur rozmazanych szeroko mocnymi pociągnięciami wiatru, tkwiło słońce skamieniałe i nieruchome. Zwisało ono bezwładnie z boku tej wielkiej pąsowej wklęsłości, którą miałem za sobą, i czekało tak martwe, głupie, wypukłe. Gdy tak patrzyłem, zdawało mi się, że mimo wartkiej i bolesnej pracy moich nóg stoję w miejscu. Było to uczucie okropne. W spotęgowanym przerażeniu wtuliłem głowę znów w ramiona i gnałem, gnałem.

Och, móc teraz dopaść jakiegoś miejsca jedyne, konkretnego, nierozszczonego stukrotnie, mojego własnego. Dobiec do jakiejś rzeczy małej, skrawka czegoś, co by mogło być tylko proste i jedyne. Ale tylko tyle miejsca, żeby głowę nieprzytomną, przerażoną i rozpuszowaną skryć, zakopać, schować i milczeć – i już nic. Ale gdzie to może być takie miejsce? Gdzie? Gdzie?

Nagle ujrzałem przed sobą białe długopole ubranie.

Zawołałem:

– Mistrzu, ratuj! Roztratuj mnie dźwięki strażackie i Ludwik XIV, i czas, i słońce!

Ale nie mogłem wydobyć głosu. Poruszałem tylko ustami, jak tonący. Mistrz był mistrzem wczorajszym, idący pod rękę z wczorajszym Karolkiem, którego nie śmiałem już nawet w myślach nazwać sobą. Gdy tak walczyłem ze śmiercią od wulgarnych, prostaczych, zbolszewizowanych dźwięków, żadnych mojej łątwej krwi, mistrz i Karolek tymczasem szli sobie, gwarząc przekornie i beztrosko, nie zważając na mnie wcale. Zaczynało mi braknąć tchu. Kłuło mnie w piersiach.

Wiedziałem już teraz, że tamci dwaj to osobni, obcy ludzie, którzy byli tylko naśladowcami cudzych twarzy. Twarz mnie piekła boleśnie. Zrozumiałem, że to kłucie w piersiach to już tylko strach.

Nogi mi ustawały. Podniosłem znów głowę do góry i zobaczyłem niebo pokryte rozmnożonym i powtórzonym nieskończenie słońcem. Milionem słońc. Wisiały one nade mną tak samo nieruchome, tak samo wypukłe i jesienne, ale tym razem wszechobecne, apokaliptyczne i ostateczne. Opadły mnie ze wszystkich stron. Nie było już dokąd uciekać.

Ostatkiem sprężonych sił skoczyłem do pierwszej z brzegu bramy. Zacisnąłem oczy i słyszałem tylko, że cała kawalkada przetoczyła się wściekłym galopem mimo mnie. Ale krótkie porykiwania puzonów były jeszcze ciągle blisko. Może to zresztą już nie dźwięk złotych trąb, tylko szalony łomot krwi w skroniach. A może jednak dźwięki – ciągle groźne, czujne, barbarzyńskie.

– Dźwięki to tylko dobijanie się do drzwi.

Zacząłem walić kulakami w jakieś drzwi. Mocno, szybko, coraz szybciej, aż do spuchnięcia pięści. Drzwi otworzyły się nagle.

Na progu stał mistrz, biały, patetyczny, z rozlśnionymi migdałowymi oczami. Nad głową trzymał pałeczkę dyrygencką, gotową za chwilę spaść rozkazująco w dół.

Szarpnąłem się w tył, zacząłem jeszcze szybciej i błagalniej tłuc pięściami w przeciwne drzwi. Może tu wreszcie będzie to miejsce jedyne, jedyne! Kiedy drugie drzwi otworzyły się na oścież, ujrzałem w nich także tego samego mistrza, w tej samej postawie.

Dopałem drzwi trzecich, piątych, dwunastych. Gdy otworzyły się wszystkie, w każdym stał mistrz wspaniały, rozkazujący i anielski. W każdym czekał tak niemy, gotowy i stokrotny. A nad każdym drżała lekko i niecierpliwie złota pałeczka dyrygenta.

Skoczyłem do drzwi. Zacząłem się dobijać po raz ostatni. Gdy się otworzyły, stanąłem w nich ja sam i nagle ostrym cięciem powietrza opuściłem swoją pałeczkę w dół. Jednocześnie ten sam ruch wykonały wszystkie postacie stojące w drzwiach.

Wybiegłem przed dom.

W tej chwili rozległ się straszny huk. Czarnymi nutami deszczu spadła z nieba jakaś ogromna, pochłaniająca wszystko muzyka. Znikło stu mistrzów w stu drzwiach. Ludwik XIV, Napoleon, Bach i strażacka orkiestra. Rosła tylko i potężniała ta muzyka patetyczna i jedyna. Cała wielkość, ustokrotnienie, zawilgość – to wszystko ginęło w szybkim, kroplistym staccato. Ziemia zaczęła wzbierać muzyką po brzegi i wystrzelać w górę wysokimi tonami drzew. Wtedy huk powtórzył się po raz drugi. Muzyka zaczęła nacichać, a niebo wypogadzać się.

Ujrzałem kłęby ognia i dymu. Spośród nich wyskoczyło coś białego i poczęło się szybko wzbijać w górę.

Był to mistrz wyrzucony w powietrze razem ze składami nut i fortepianów.

Dojrzał mnie i zamachał przyjaźnie ręką. Tak go widziałem z tą ręką wyciągniętą w górze, zanim nie oddalił się tak bardzo, że już wyglądał tylko jak mały punkcik z kreską – jak mała ostatnia ćwierćnuta z fugi Bacha.

Wtedy się zwyczajnie, po ludzku rozplakałem.

Druk: „Sztuka i Naród” 1943, nr 9–10, s. 10–21.